



# Głosy

*Emilia Rejner*



Mały Odhim od zawsze wiedział, że będzie skyrumą. Tak było mu pisane, nie miał wątpliwości.

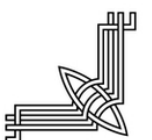
Pochodził z Klanu Nidi, tu się urodził i tu wychował, nie dziwiło więc, że tym, na czym znał się najlepiej, były połowy. Podobnie jak jego ojciec, dziad i jeszcze wielu przed nimi, Odhim Irgrip swej przyszłości powinien szukać w srebrzysto-karmazynowych łuskach łososi nidi. Odkąd po raz pierwszy stanął na swych krótkich, dziecięcych nóżkach, chłopiec niejednokrotnie słyszał, że nie można odrzucać tego, co rzeka tak szczerze im oddaje. Połowy czerwobrzuchów zaspokajały głód i potrzeby handlowe, a wypracowywane przez dekady umiejętności rybackie i żeglarskie zaskarbiały im szacunek innych, mniej obytych z rzeką klanów. *Tu jest twój dom*, mówił Fjorbori Irgrip, wraz z małym Odhimem wyciągając sieci pełne szamoczących się łososi. *Gjollev jest twoim ojcem w takim samym stopniu, jak ja. Słuchaj głosu rzeki, a będziesz żył w spokoju.*

Chłopiec w to wierzył. Jego rodzice, poczciwi ludzie, zawsze byli dla niego dobrzy, a on wpatrywał się w nich z ufnością. Trzeba być dobrym dla ludzi i pracować wytrwale, trzeba dbać o dobrobyt klanu i ze wszystkich sił pracować nad własnymi zdolnościami, by być lepszym, a przez to – bardziej przydatnym. Gjollev ceni pracowitych, tak mówiono w klanie, i Odhim wierzył także w to.

Problem polegał na tym, że głos rzeki nie był jedynym, który słyszał, i że to ten drugi, ten szepczący mu do ucha od szóstych urodzin, był silniejszy i bardziej kuszący. *Bardziej zdradliwy*, mówiła matka, z rosnącym niepokojem przyglądając się synowi.

Odhim słyszał utarę.

Nigdy nie należał do szczególnie oddanych rytualnym praktykom i nie odwiedzał klanowych kaplic tak często, jak być może powinien, zawsze jednak kręcił się w pobliżu i czekał. Ciągnęło go do akolitów i skyrmów





jak młodego gyrdira do misy pełnej oprawionych łososi. Lgnął do nich coraz silniej i silniej, wreszcie towarzysząc im zawsze wtedy, kiedy nie musiał być na łodzi. Ci zaś nie odpędzali go, bo z zasady byli dla wszystkich, którzy chcieli ich słuchać. A Odhim słuchał z zapamiętaniem, jednocześnie za każdym razem kręcąc przecząco głową, gdy rodzice mówili o przyszłości rybaka. *Nie*, odpowiadał spokojnie, coraz mniej sepleniąco, za to coraz bardziej pewnie. *To nie jest droga dla mnie.*

Irgrip utwierdził się w tym przekonaniu, gdy Eti Bragmar przeszedł inicjację i dołączył do grona rytualistów. Siedemnastoletni Eti był jego przyjacielem, niemal bratem. Jak to często bywa, był też wzorem dla młodszego Odhima. I skoro on oddał się utarze, Irgrip był już całkiem pewien, że jego również to czeka. Tak po prostu musiało być.

W dniu unaroku, gdy oficjalnie stał się dorosłym, czternastoletni wówczas Odhim stawiał się w skalnej świątyni miejskiej, Bergvegdrze, by ślubować posłuszeństwo. Tak rozpoczął się czas jego akolitu.

Irgrip pracował ciężko, nie widząc różnicy między wysiłkiem wkładanym w fach rybaka a w prace rytualisty. I jedno, i drugie było ważne. I do jednego, i do drugiego należało się przykładać. Klan potrzebował i rybaków, i rytualistów, każdego po równo. Odhim szczerze w to wierzył. Był prosty, ufny i pełen oddania we wszystkim, co robił. Gdy należało sprzątnąć ołtarz, Irgrip robił to bez słowa protestu. Suszył zioła o drażniących zapachach i przygotowywał lepkie olejki niezbędne w rytualnej praktyce. Czyścił noże i narzędzia chirurgiczne, cerował szaty i dbał o świątynne bori, smoliste kruki gniazdujące na szczycie skał Bergvegdru. Gdy zaś wreszcie uznano, że Odhim potrafi już wszystko, co potrzebne w służbie thynom – wtedy zaczęto mówić o inicjacji.

Odhim Irgrip miał osiemnaście lat i uważał, że jest gotowy.

\* \* \*

– To nie jest takie proste, Odhim. – Eti Bargram był zaledwie trzy lata starszy, ale zachowywał się jak klanowy mędrzec. Te trzy zimy więcej sprawiały, że młody rytualista krytykował przyjaciela za każdym razem, gdy ten powiedział coś nie tak lub pałał zbytnim entuzjazmem.

Zdaniem Bargrama skrymie nie wypadało aż tak cieszyć się na myśl o nadchodzących rytuałach.

– Tak naprawdę to jest cholernie trudne – kontynuował Eti, a Odhim westchnął cicho.

– Ja wiem. Naprawdę. – Irgrip rozparł się wygodniej na skalnej ławie, z cichym pomrukiem przyjemności wystawiając twarz na mroźne, górskie słońce.

Chwile takie, jak ta, zdarzały się niezwykle rzadko. Akolici i rytualiści zawsze gdzieś się spieszyli, zawsze mieli co zrobić i nigdy nie mieli dość czasu. Obecny spokój Odhim zawdzięczał tylko zbliżającej się inicjacji. Rytuał mający odbyć się następnego dnia dawał mu prawo do dnia odpoczynku i przygotowania się do prób, którymi tak usilnie straszył go Bargram.





- Wiesz. - Eti spojrzła na przyjaciela krytycznie, krzyżując ramiona na szerokiej piersi. Proste, codzienne szaty każdemu rytualiście nadawały tę samą, bezkształtną formę, ale w przypadku Bargrama nawet one nie mogły ukryć jego rostej postawy. Gdyby nie poświęcił się utarze i thynom, Eti z pewnością byłby doskonałym wojem, może berserkiem. Odhim nie miał co do tego wątpliwości. - Wiesz, ale nie wyglądasz na szczególnie przejętego.

- Och, ja jestem przejęty. - Irgrip uchylił jedno oko i uśmiechnął się szeroko. - Ale co według ciebie mam robić? Smagać się witkami brzożowymi? Przykuć do ołtarza? Nasmarować illenem i wzywać thynów tak długo, aż ochrypnię?

- Czasem myślę, że by ci to nie zaszkodziło - burknął Eti, a Odhim roześmiał się lekko.

- Wiem, że inicjacja nie jest łatwa, Eti, poważnie. I boję się jej. Ale to niczego nie zmienia. Nadal muszę do niej podejść. - Chłopak wzruszył lekko ramionami. Był skrajnym przeciwieństwem swego przyjaciela - drobny, szczupły, wręcz wychudzony, tonął w zwalach rytualnej szaty, wydymającej się na jego ciele jak okrętowy żagiel za każdym razem, gdy wpadł pod nią najłżejszy choćby podmuch wiatru. Rozczochrane, ryże włosy nigdy nie pozostawały w warkoczu, w który je spletał, a zakręcone na płowych kosmykach ozdóbki - kolorowe skrawki materiału, koraliki i ptasie pióra - obijały się o siebie i zsuwały.

Bargram westchnął z rezygnacją.

Inicjacja nowych rytualistów od setek lat przebiegała dokładnie tak samo. Niezależnie od przynależności klanowej, akolici uznani za gotowych poddawani byli próbom sprawdzającym ich wytrwałość, siłę woli, odwagę i oddanie sprawie. Niektórzy spędzali noce w lesie, inni zmuszeni byli odbyć wędrówkę wybraną specjalnie do tego celu trasą. W Klanie Nidi miejscem prób był Hrimgund, rytualna grotą.

Proces inicjacji trwał trzy dni, podczas których akolita pozostawał w odosobnieniu, pozbawiony jedzenia i picia, zaopatrzony jedynie w cienki pled i źródło światła, niewystarczające jednak by rozjaśniać ciemności przez cały czas próby. Nie brzmiało to aż tak strasznie, Odhim zdawał sobie jednak sprawę, że wielu przed nim przeceniło swoje siły. Nie każdy kończył inicjację, bo nie każdy potrafił sobie poradzić - z głodem, pragnieniem i, przede wszystkim, z samym sobą. Irgrip wierzył, że on temu podda, ale nie mógł mieć pewności.

Następnego dnia stawił się jednak w świątyni pełen zapału i dał się odprowadzić do groty. Przechodząc przez miasto, uśmiechnął się ciepło do rodziców, odprowadzających go niepewnym, chmurnym spojrzeniem, i do młodzianki Savy, córki sąsiadów. Słyszac za plecami kolejne z westchnień Etiego, roześmiał się krótko.

- Twoja wiara we mnie jest urzekająca, Bargram.

Gdy dotarli do jaskini, Odhim po raz ostatni obdarzył odprowadzających go rytualistów sympatycznym uśmiechem i wkroczył do środka, stopniowo znikając w gęstych ciemnościach groty.





Był podekscytowany. Był przerażony. Zmagał się z tak wieloma uczuciami na raz, że nawet nie próbował nazwać wszystkich. Rozciągający się przed nim labirynt ciemnych korytarzy, ciasnych przesmyków i przestronnych grot czekał, wołał go, wyciągał ku niemu swe zachłanne ramiona. Odhim słyszał szept Hrimgundu w kąpiącej wodzie, słowa jaskini niosły się w przytłumionym szumie podziemnego potoku i w cichym chrobotaniu pazurków drobnej zwierzyny.

Irgrip odetchnął bardzo powoli, zawahał się, wreszcie chrząknął cicho i ruszył dalej przed siebie, szukając miejsca, w którym mógłby zatrzymać się na najbliższe trzy dni.

I tak, o świcie szóstego dnia odwilży, rozpoczęły się próby.

\* \* \*

Jeszcze przed inicjacją Odhim postanowił, że będzie zwiedzał. Najgorszym przeciwnikiem akolitów podczas inicjacji jest samotność i dłuży się czas, a ani na jedno, ani na drugie nie będzie zwracał uwagi, gdy znajdzie sobie zajęcie – tak rozumował, myśląc o nadchodzącym wyzwaniu. Teraz, będąc już w grocie, gotów był od razu zacząć realizować swój plan.

Pewnym problemem były ciemności, Irgrip uznał jednak, że sobie poradzi. Nie chciał marnować jedynej pochodni, jaką otrzymał – potem mogła przydać mu się bardziej, gdy wszechobecny mrok będzie już zupełnie nie do zniesienia – dał więc sobie czas na przyzwyczajenie wzroku do braku światła i najpierw ostrożnie, potem coraz pewniej ruszył po omacku przed siebie. Niewiele widział, z zaskoczeniem zaobserwował jednak, że polegając na stopniowo uwrażliwiających się zmysłach – słuchu i dotyku – wciąż jest w stanie dokonać pewnych odkryć.

Pierwsza sala, do której dotarł, była niezbyt duża, wręcz ciasna, na ile mógł się rozeznąć. Sunąc dłonią po szorstkiej skale, szybko dotarł do miejsca, w którym ściana groty zakręcała, zamykając pomieszczenie. Niewielkie rozmiary komory o niczym jednak nie świadczyły, bo jama miała w sobie coś, co kazało Odhimowi zatrzymać się i uśmiechnąć z zachwytem.

Te skromne ilości światła, które docierały do podziemi przez skalne szczeliny, pozwoliły mu dostrzec fantastyczne wzory wytyczone przez liczne stalaktyty i stalagmity. Nacieki nie były duże, większość była smukła, wręcz delikatna, ale to tylko dodatkowo sprawiało, że trudno było się nie zachwycić. Gdzeniegdzie narastające skały łączyły się ze sobą, formując kolumny, a wzory wyrzeźbione na ich powierzchni przez spływającą wodę przypominały misterne zdobienia eleganckich dworców z południa. Irgrip umiał docenić piękno i tu, w tej sali, był zachwycony.

W kolejnym pomieszczeniu widział obrazy. Ostrożnie klucząc ciemnymi korytarzami nie od razu zorientował się, że ciasne przejście, którym aktualnie podążał, otworzyło się na przestronną komorę. Cichy szum i plusk u jego stóp skusił go do upicia kilku łyków z chłodnego, podziemnego strumienia – i dopiero wtedy,





ostrożnie nabierając wody w złożone dłonie, Odhim odkrył, że znalazł się w kolejnej sali. Ta, jeśli nie liczyć prostych rysunków zdobiących jedną z jej ścian, była zupełnie pusta.

Młody rytualista wyprostował się i powoli podszedł do malunków. Słyszał, że w wielu grotach Euxaniru można znaleźć ślady dawnych ludów, pierwszych mieszkańców gór. Podobne ślady minionej ludzkiej bytności miały być obserwowane i na południu, i na północy, czy to w postaci symbolicznych rytów czy też, na przykład, prostych kamiennych narzędzi, które czasem można było odnaleźć na szlakach. Rytualiści uczyli się o niektórych z tych miejsc i odwiedzali je, by studiować ślady przodków, ale obrazów w Hrimgundzie Odhim jeszcze nie widział.

Zatrzymał się w miejscu, w którym, jak mu się wydawało, malunki brały swój początek. Podobnie jak w wielu podobnych jaskiniach, także tu kompozycja rozciągała się na całej długości ściany i zdawała się składać w jedną, spójną opowieść. Całość mówiła o polowaniu, co zupełnie Odhima nie zdziwiło – łowy były najczęstszym motywem skalnych malowideł.

Studiując kolejne, proste sceny Irgrip widział więc najpierw przygotowania łowców – mocno uproszczone, ludzkie sylwetki zgromadzone wokół wielkiego ognia, uzbrojone w łuki i dzidy; jedna z figur, skryta w futrzanych szatach, musiała być jakiegoś rodzaju szamanem – ich późniejszą wędrowką przez góry i, wreszcie, same sceny polowania. Kilka prostych linii, jakby niedbałych pociągnięć barwnikiem tworzyło zaskakująco kompleksowy obraz osaczania wielkiego kota – gharra, szablozębnego drapieżnika wysokich gór? – heroicznej walki z niebezpiecznym zwierzęciem i, na koniec, zwycięstwa. Nie obyło się jednak bez ofiar – jedna z ostatnich scen przedstawiała myśliwych oplakujących swych poległych braci i chowających ich w skalnej szczelinie.

Odhim odetchnął cicho. Niemal czuł wokół siebie obecność dawno umarłych łowców.

Opuszczając salę tą samą drogą, którą przyszedł, znów sunął dłonią po skale, w pewnym momencie wyczuwając na niej nierówności wrytych ludzką ręką symboli. Runy, poznawał po kształcie, nie rozumiał ich jednak. Musiały być znacznie starsze od dawnego dialektu, którego uczyli się rytualiści.

Tuż przed następną salą natrafił na kryształ. Ostry, przejrzysty okruch poturlał się ze stukotem, gdy Odhim kopnął go nieopatrznie. Irgrip podniósł minerał i schował go do sakwy, dołączając do podobnych, drobnych znalezisk, które kolekcjonował.

Pod koniec dnia – tak mu się przynajmniej wydawało, w Hrimgundzie czas płynął przecież inaczej – znalazł ciało.

Właściwie były to tylko kości, odarte z mięsa, wysuszone i bardzo stare. W jakimś skrawku Odhim dopatrzył się pozostałości po mocno zaimpregnowanej skórze – z podróżnej kurty lub spodni – a zaśniedziałe koraliki nawleczone na prosty rzemyk musiały niegdyś służyć za ozdobę. Poza tym jednak nie pozostało nic, co mogłoby wskazywać na pochodzenie czy status społeczny zmarłego – bądź zmarłej. Odzieniem były już tylko





szare porosty, których place pokrywały wygładzoną powierzchnię kości, a ozdobą – drobne zadrapania pozostawione przez pazurki żerujących gryzoni.

Odhim wycofał się, nagle tracąc chęci na zwiedzanie.

Kolejny dzień powitał go zmęczeniem i głodem. Irgrip nie przespał nocy – tych godzin, które sam uznał za noc w wiecznie ciemnych grotach – i nad ranem brakowało mu sił. Pierwotny plan, by nie dawać sobie czasu do namysłu z oczywistych względów nie mógł się sprawdzić, teraz już to wiedział. Nie potrafił włączyć się bez przerwy, zbyt oddalanie się od prowizorycznego obozowiska nie byłoby zresztą mądre. Gdyby poszedł zbyt daleko, mógłby nie znaleźć drogi powrotnej. Gdyby coś mu się stało w głębi Hrimgundu, zostałby tam po wieki, dotychczas do grona akolitów, którym nie udało się opuścić jaskini.

Gdy poszedł nad strumyk, ten sam przy którym zatrzymał się wcześniej, po raz pierwszy usłyszał głos.

– Tyle lat, co? – zaszemrał potok. – Nigdy nie sądziłem, że tu zostaniesz. Myślałem, że będziesz jednym z tych żyjących na szlaku. Zawsze widziałem w tobie typ włóczęgi.

Odhim uśmiechnął się przelotnie. Znał ten głos, wybijający się teraz wyraźnie ponad plusk i kapanie wody.

– Też tak myślałem – odpowiedział spokojnie. Upił łyk ze strumienia, po to tu przyszedł. Potem odetchnął cicho. – Też tak myślałem, ale to by się nie udało, Helreg. Jestem znacznie większym tchórzem niż wyglądam – roześmiał się krótko.

Helreg Sidfred, jego przyjaciel z dzieciństwa, brat niemal, tak wiele mieli wspólnego, zawtórował mu podobnym rozbawieniem. To był kojący śmiech, dobrze znany ze wspólnych potowów i gonitw za fjallogami.

– Jak się tu czujesz? – zapytał Helreg, a Odhim, choć nie mógł go dostrzec, nie widział zupełnie nic dziwnego w toczonej rozmowie. Nie mówił przecież do siebie. – Wiesz, w Hrimgundzie. To średnio przyjemne miejsce. – Irgrip wyobraził sobie, jak mężczyzna wzrusza ramionami.

– Jest... Spokojnie. Cicho.

– I trochę strasznie – uzupełnił Sidfred, a Odhim roześmiał się.

– I trochę strasznie – przytaknął.

Ochlapując jeszcze twarz wodą ze strumienia, rytualista wyprostował się wreszcie. Odruchowo otrzepał rękawy szaty i wygładził drobne zagniecenia.

– Pracowałem na to, żeby tu być – odezwał się nagle Odhim i westchnął cicho.

– Musiałeś tu trafić – zgodził się Helreg. – Tu jest twoje miejsce, to... Twoi rodzice nie chcieli tego przyznać, ale wiedzieli. Ja też wiedziałem, od zawsze. – Sidfred uśmiechnął się. – Łodzie nie były dla ciebie. Byłbyś zdolnym rybakim, ale to ci nie pasowało. Vidrey też ci nie pasowała.

Odhim wciągnął powietrze gwałtowniej,





- Kochałem ją, Helreg. Naprawdę ją kochałem – powiedział cicho. Entuzjazm, z którym wchodził do Hrimgundu zgąst już przed kilkoma godzinami, teraz zaś wypaliła się także ciekawość i radość z osiągnięcia postawionego sobie celu. Jaskinia już się nie liczyła, inicjacja nie miała większego znaczenia.

- Wiem – odpowiedział spokojnie Helreg. – Ale ona nie była twoja. Nigdy nie byłaby twoja. – Sidfred zawahał się. – Ty musiałeś po prostu się uczyć. Rybołówstwa. Historii. Kobiet. Życia.

Irgrip pokręcił głową w milczeniu.

- Nigdy nie skończę się uczyć – wyszeptał. – Ale to chyba nie jest nic warte. Ja...

Helreg nic już nie odpowiedział.

Odhim w milczeniu wycofał się, nie wrócił jednak do obozu. Wszedł do sali z malunkami, usiadł przed ochlapaną barwnikiem ścianą i został tak, nieruchomy, zapatrzony w dawno minione obrazy.

Trzeciego dnia nie był pewien, gdzie się znajduje. Czuł ból pustego żołądka i żółć podchodzącą mu do gardła. W głowie szumiła mu krew – *jak rwąca rzeka lub wodospady, lub kaskady na Andmarze*, pomyślał.

- Gritti z Viliskyi powinien przybyć za dwa dni – mówiły jaskinie, a Odhim skinął lekko głową. – Trzeba będzie przygotować łódź, bo ten upierdliwy dziadyga na pewno nie będzie chciał zwlekać. Nigdy nie czeka, zawsze tak cholernie mu spieszno.

Irgrip roześmiał się.

- Mówi, że czas to pieniądz i raczej trudno odmówić mu racji.

- Gówno prawda – ofuknęła się inna z sal, ciemność komory zafalowała od tłumionego śmiechu pozostałych pomieszczeń. W ukruszonej, osypującej się ze stukotem skale Odhim słyszał słowa klanu. – Dzień by go nie zbawił, towar i tak leży potem w Etallarze.

- On po prostu tak ma – przytaknął wiatr prześlizgujący się przez podziemne korytarze. – Nie spieszy mu się tylko do grobu.

- A szkoda – zaburczała ciemność.

Odhim uśmiechnął się pobłaźliwie.

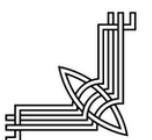
- Irgrip – odezwał się Helreg. – Irgrip, czy możesz...

- Zaczekaj – rytualista podniósł się ze stęknieniem nie przystającym dla jego młodego wieku. – Na thynów, to jest...

- Uciekaj, Irgrip – rzucił Sidfred krótko, ostro, napastliwie.

- Co? – Odhim przecesał suche, rozczochrane jasne włosy, nieudolnie próbując zebrać je z powrotem w ciasny warkocz.

- Uciekaj – powtórzył Helreg. – Teraz.





I Odhim zaczął uciekać.

Popędzał go głos Sidfreda, kazał mu biec dalej, dalej, cały czas przed siebie przez skalne korytarze. Irgrip nie wybierał drogi, parł przez gęstą ciemność, przez wilgoć i coraz bardziej przenikliwe zimno. Gnał przed siebie na ślepo, szorując dłońmi o surowe ściany. Krople krwi karmity wygłodniałe góry, spływały po języku Hrimgundu i podsycały jego apetyt.

Skąty wyły i szlochały, zdzieraly gardła w przeraźliwym krzyku. Półzwierzęcy skowyt rezonował w ciasnych korytarzach, jękliwe zawodzenie pchało Odhima dalej, wciąż dalej, bez ustanku i bez chwili oddechu.

*Nie musisz oddychać, szeptały góry, musisz biec.*

*Nie możesz się zatrzymać, powtarzał Helreg z uporem. Nie możesz!*

*Ona na ciebie czeka, zaświergotał radośnie potok, gdy Odhim przeskakiwał nad nim nieporadnym susem, płacząc się w za dużej szacie. Vidrey czeka i śmieje się, bo nigdy nie byłeś dla niej ważny.*

*Tyle się uczyłeś, wymruczała ciemność, a wciąż tak mało umiesz.*

*Mój synu, wyszeptał ojciec, mój zagubiony synu.*

Odhim zawył razem ze skałami, gorące łzy spłynęły mu po policzkach.

Tak bardzo się bał.

Grunt uciekł mu spod nóg, mroźne powietrze skalnych głębin zamartło mu w płucach, skuwając je okowami z lodu. Spadał. Obijał się od skał, drąc szaty i zdzierając skórę, łamiąc paznokcie i rozbijając łokieć na wystającym kamieniu. Zbierał sińce – jeden, drugi, trzeci, kolejne podbiegające krwawo ślady tam, gdzie sięgnęły po niego głodne góry – tak, jak kolekcjonował kamyki, muszle i pióra.

Wreszcie zatrzymał się, głucho uderzył w zimną, twardą skałę, przetoczył się po niej, przesorował zapyloną podłogę.

Tonął.

To chyba była krew, czuł metaliczny smak na języku. To krew spływała mu do gardła, dusiła go, zalewała mu płuca. Miał ją w żyłach i miał poza nimi, miał wszędzie wokół siebie, wypełniła jaskinię jak woda przelewająca się przez zbyt słabe tamy.

Mgła zasnuła mu widok, gęste, szare opary wypęzły ze skał, rozlały się w grocie i otoczyły go ze wszystkich stron. Za nimi widział miasto. Wielkie, piękne miasto, puste i ciche. Czekąco na niego. Wyciągało do niego ręce, otwierało przed nim bramy, a on szedł, nie mogąc oprzeć się wezwaniu. Mleczne kłęby zacierały mu widok, ale i tak wiedział, gdzie ma iść. Nie musiał widzieć drogi.

Wiedział, co to za miasto, znał je z kart zebranych w starych archiwach.

Var Arrod.

\* \* \*







Wynieśli go akolici, choć, gdy usłyszeli jego głos, był już podobno prawie u wyjścia z Hrimgundu. *Musiacieś się doczołgać*, mówili, gdy jeszcze przez chwilę był dosyć przytomny, by zapytać. *Bardzo chciałeś wrócić*.

Oddali go pod opiekę uzdrowiciela.

- Miałeś szczęście - powiedział Helreg Sidfred, klanowy znachor, pochylając się nad kolejnym z otarc. - Miałeś cholernie dużo szczęścia, Odhim.

Irgrip uśmiechnął się blado. Nie bardzo rozumiał. Nie do końca orientował się w sytuacji.

Gdzieś był. Ktoś się nim zajmował. To chyba dobrze.

Chyba był w domu.

Pogrążył się w śnie bez snów.

- Odpoczywaj - wymruczał Helreg. - Musisz nabrać sił, które zabrał ci Hrimgund. - Uzdrowiciel zawahał się. - Bestia była zachłanna.

Odhim chyba uśmiechnął się na to odruchowo, nieprzytomnie, ale nie był pewien. Potem, gdy się obudził, nic z tego nie pamiętał. Od upadku w grocie wszystko utonęło we mgle, przez którą nie potrafił się przedrzeć.

Gdy oprzytomniał, przyszedł Eti.

- Nic nie mów - wychrypiął Irgrip. Głos zdarty w jaskini odmawiał mu posłuszeństwa. Bargram westchnął cicho, zgodnie z życzeniem nic jednak nie powiedział.

Mówili za to inni. *Skyrmo*, skłonił się jeden z najmłodszych akolitów, przynosząc mu posiłek na drewnianej tacy.

Odhim uśmiechnął się blado.

Dwa dni później odbyły się oficjalne rytuały, zapłacił tradycyjną ofiarę krwi i zakończył akolitat.

\* \* \*

Siedział na skalnej ławie pod Bergvegdem, wystawiając twarz na słońce. Był sam, bo od pobytu w Hrimgundzie jakby zapomniał słów. Wciąż potrafił mówić i wciąż potrafił rozmawiać, ale chyba nie chciał. Chyba nie był pewien, o czym miałby.

Był jednym z tych rytualistów, których Hrimgund zmieniał.

Siedział i dumął, w ciszy składając wewnętrzny monolog. Wiedział, co go czeka. Hrimgund pokazał mu jedyną drogę, którą musiał podążać. Nie miał wyboru. Nie czekało na niego nic ponad to, co oferowały mu groty. One wiedziały. On teraz już też.

Var Arrood.

Uśmiechnął się blado. Nie wiedział, czy się z tego powodu cieszy. Raczej nie. Ale musiał je zobaczyć.

Mały Odhim od zawsze wiedział, że będzie skyrmą, a teraz, dzięki Hrimgundowi, wiedział też gdzie przyjdzie mu umrzeć.

